

W 2018 r. przypada 80-ta rocznica „nocy kryształowej” (*Reichskristallnacht*), jak eufemistycznie nazwano noc 10 listopada 1938 r. Zaś 10 maja 1933 r., 85 lat temu, był dniem, w którym w Berlinie palono książki. Podobne zdarzenia miały też miejsce później w innych miejscowościach, na przykład w Moguncji 23 czerwca.

Sebastian Haffner opisuje w swoich wspomnieniach, wydanych już po śmierci autora, pt. „*Geschichte eines Deutschen*“ (Historia jednego Niemca) czym mimo wszystko mógł być polityczno-literacki kabaret w latach narodowo-socjalistycznego despotyzmu:



Przemawia to wprawdzie trochę na naszą niekorzyść, że z powodu ostatnich wydarzeń i doświadczenia lęku przed śmiercią nie potrafiliśmy nic innego zrobić, jak tylko zignorować to, najlepiej jak tylko potrafiliśmy. Nie chcieliśmy dać się przeszkodzić w rozrywce. Myślę, że młoda para sprzed stu lat potrafiłaby lepiej wykorzystać ten czas – choćby nawet spędzając wielką, namiętą noc, przyprawioną atmosferą niebezpieczeństwa i zagubienia. Nie przyszło nam do głowy nic lepszego, więc pojechaliśmy właśnie do kabaretu, ponieważ nikt nam w tym nie przeszkodził. Po pierwsze, bo zrobilibyśmy to tak czy owak, po drugie, bo chcieliśmy zapomnieć o wszystkim, co nieprzyjemne. Może taka postawa wydaje się bardzo okrutna i zarazem nieustraszona, jest to jednak prawdopodobnie znak pewnego poczucia osłabienia, który pokazuje, że my, pomimo cierpienia, nie stanęliśmy na wysokości zadania wobec zaistniałej sytuacji. Jeśli mogę tu sobie pozwolić na takie uogólnienie, jest to właściwie jedna z najbardziej budzących groźbę skłonności do takiego, a nie innego biegu wydarzeń w Niemczech. Do przestępstw brakuje sprawców, a do cierpienia męczenników; wszystko dzieje się w atmosferze częściowego znieczulenia słabą i skromną dawką tego obiektywnie okrutnego uczucia: Morderstwa popełniane są w nastroju szczeniackich wybryków, samo-upokorzenie i śmierć moralna odbierane są jako mały zakłócający incydent, a sama śmierć fizyczna oznacza jedynie coś w rodzaju pecha. Jednakże nasza indolencja została tego dnia nadmiernie wynagrodzona, ponieważ właściwie przypadkiem zabrano nas do katakumb. To właśnie było drugim znaczącym doświadczeniem tego wieczoru. Przyszliśmy do jednego miejsca publicznego w Niemczech, w którym dokonywano pewnego rodzaju oporu – odważnie, zabawnie i elegancko. Przed południem doświadczyłem, jak Wyższy Sąd Krajowy Prus o wielowiecznej tradycji haniebnie się rozpadł ulegając nazistom. A wieczorem doświadczyłem, jak garść małych berlińskich aktorów kabaretowych bez jakiegokolwiek tradycji chwalebnie i z wdziękiem ratowała godność. Wyższy Sąd Krajowy upadł.



Katakumby zostały.

Werner Finck był mężczyzną, który prowadził tutaj swoich aktorów niczym chorągwie do zwycięstwa – ponieważ każde zachowanie postawy w obliczu potęgi grożącej śmiercią jest formą zwycięstwa. I właśnie ten mały konferansjer kabaretowy zasłużył bez wątpliwości na swoje miejsce w historii Trzeciej Rzeszy – jedno z nielicznych miejsc honorowych, które są do przyznania. Nie wyglądał on jak bohater, i nawet jeśli w końcu prawie nim został, został nim mimo woli. Żaden z niego rewolucyjny aktor, żaden zjadliwy szyderca, żaden Dawid z procą. W głębi jego istoty tkwiła niewinność i życzliwość. Jego dowcip był delikatny, taneczny i płynny; głównymi środkami jakimi się posługiwał były dwuznaczność i gra słów, które stopniowo opanował do mistrzostwa. Był twórcą czegoś, co nazwano „ukrytą puentą“ – i naturalnie, im dłużej to praktykował, tym lepiej udawało mu się te jego puenty ukrywać. Swoich poglądów jednak nie ukrywał. Pozostał on symbolem niewinności i życzliwości w kraju, w którym właśnie te cechy znajdowały się na liście cech zagrożonych. I właśnie w tej niewinności i życzliwości, niczym puenta, ukrywała się jego prawdziwa i nieugięta odwaga. Odwaga mówienia o rzeczywistości nazistów – w samym środku Niemiec. W swojej konferansjerce wspominał obozy koncentracyjne, przeszukiwania domów, powszechny strach, kłamstwo. Jego szyderstwo miało w sobie coś niewymownie cichego, nostalgicznego i przygnębiającego, ale także emanowało ono niezwykłą siłą otuchy.

Dzień 31 marca 1933 r. był być może jego najważniejszym wieczorem. Lokal był pełen ludzi, którzy spoglądali na nadchodzący dzień jak w otwartą otchłań. Finck potrafił doprowadzić ich do takiego śmiechu, jakiego jeszcze nigdy wcześniej od publiczności nie słyszałem. Był to śmiech patetyczny, śmiech nowonarodzonej przekory, która pozostawiała po sobie znieczulenie i rozpacz. Ten śmiech zdawało się wzmacniać uczucie niebezpieczeństwa. Czyż nie był to niemal cud, że oddziały szturmowe już dawno tu nie dotarły, by aresztować wszystkich obecnych? Prawdopodobnie nadal śmialibyśmy się tego wieczoru, siedząc w zielonym samochodzie. W nieprawdopodobny sposób wznieśliśmy się ponad niebezpieczeństwo i strach.

